

WOL. BIBLIOTEKA PUBL.
Nr 1026
LUBLIN
m. H. Łopachńskiego

LUCIFER



LUBLIN

MCIMXXI

LUCIFER

MIESIĘCZNIK LITERACKI.

Lublin

№ 1.

Grudzień 1921 r.

„Najbardziej zachwyceni wołali
imię Potępionego“

Staff — „Ogród Pieszczot.“

Lucifer jawił się

. w obłonach chmurnych a nieprzeniknionych mroków ta-
czał się, kłębił po świecie: niekiedy iskrą łyskając, co jako piorun Bogu
prawemu skradziony, ziemię na wiosnę pulchniła, a ludziom do jestestw
się wdzierala.

Wołali nań wtedy: „Przeklęty“ . . .

Jawił się w ludziach nielicznych, co wszelką moc i poczynanie z siebie
tylko czerpać przyrzekli, — sobie wierząc i w najcięższych niepewno-
ściach objawienie nie z ich wnętrza płynące, precz odrzucili.

Zowią ich od szatana opętanymi.

Idziemy ku nim z nich i z Imienia Jego klątwy piętno zedrzeć i w chmu-
rach potępieńczych ognia światłonośnego się doszukać.

W siebie wierząc, a w nikogo więcej, światło odrodzenia
z siebie na nowo tworzyć, lub z obłon chmurnych wybliskiwać będziemy.

My czciciele ognia i światła zapoznanego.

Szukać go idziem po dniu słonecznym — po promienistych ciepłych
drogach — po nocy gwiazdnej szlakami mytów światłonośną dłonią po-
kreślonej. W otchłanie ziemi idziem poprzez wnętrza wulkanów po nie
sięgając.

Idziem w mrok — szarzynę nawet czasem przed sobą to-
cząc, w mgłę spowici, z nocą zbratani

Wierzym, że treści tylko w sobie zawsze szukając, formy
nowe wyłonim, boć nie z tych jesteśmy, co jej jako listka figowego uży-
wają, aby pustkę obłonić, lub zgoła światu tylko formą zaimponować.

Jesteśmy — wnętrza nasze otwarte. Nic nam, czy nasze
jestestwo próchnem, śmieciem, czy światłem nazwiecie. Aleć listki fi-
gowe głuptakom i pustym zostawiamy.

A krocym po drogach twardych i wązkich, które same
dla siebie celem są i do celu wiodą. Po drogach i bezdrożach —
ścieżkach i manowcach

A jak nas światło olśni, a jak go czasem z siebie wyblis-
niem — łapcie promień ów, boć od Boga pochodzi, a przez człowieka
w imię światłonoścy skradzionym został.

Idziemy

I N W O K A C J A.

*Kłamią księgi żydowskie: nie przez bunt orężny,
Lecz już się wyzwoliłeś samą ducha mocą
Wydarłszy ogień Bogu — Tyś również potężny.
Próżno klątwy, obelgi kapłani belkocą!*

*Pierwszemu człowiekowi już dałeś bezcenny
Wiadomości dobrego i złego praowoc,
Dziś — ciemni, odprawiają wotywy, nowenny,
Msze, — bluźnią przeciw Tobie, wzywają o pomoc . . .*

*Z melancholji uśmiechem na sfinksowej twarzy
Pływasz w gwiazdnym potopie, w zenicie nad nami,
W oczach Twych światłonośnych sto komet się żarzy,
Swą hipnotyczną mocą świat straszy i mani.*

*Srebrną oksydowaną plecionką, jak płaszczem,
Okrywasz się w noc ciemną, a purpurą zrana,
I natchnieniem cmentarnem, to znowu hulaszczem,
Napelniasz dusze nasze, — żarliwców szatana.*

*Co jest niepospolite na tej nudnej ziemi:
Światło, sztuka i wiedza z Ciebie źródło bierze.
Wyzłacaj szare dusze ogniami swoim!
I w nas się reinkarnuj Agni — Luciferze.*

N. L. Jotta.



DYTYRAMB SZATANSKI.

Patrz! Oto idą tłumy znowu na Golgotę.

— — — — —
Na Boga! Cóż się stało? Chrystus śmiał się z krzyża.

*Trwogą zdjęci uczniowie zanosili skargi
 Do Ojca — Piotr przerażon zaparł się raz czwarty,
 Lotr na krzyżu odwilżyć chciał spieczone wargi,
 Wina pełen roztruhan podały mu czarty.*

*Trzeciego dnia zmartwychwstał Judasz Iskariota
 I poszedł do Emaus, gdzie chciał spotkać Pana,
 W wieczerniku zebrała się miejska hołota,
 Spiewali dzikie pieśni — hulali do rana.*

*Magdalena swe piersi jurne w błędnym szale
 Krwawiła, skruchę czyniąc u stóp Kaifasza,
 A Tomasz nawet wtedy nie chciał wierzyć wcale,
 I sprawdzał siną pręgę na szyi Judasza.*

*Na ziemię z nieba upadł calun obłąkańczy —
 Hejże! Będziemy pisać! Niech zabrzmiały tympany,
 Patrz! Nawet stare słońce cieszy się i tańczy,
 Niebiosy oszalały! Sam Bóg jest pijany!*

— — — — —
*Zbudź się Piotrze! Z tajemnic już spada zasłona,
 Zagroź wzrokiem zamglonym bezmyślnie i wiernie —
 Uwierz wreszcie Tomaszu! Patrz! Chrystus nie kona,
 Wyrwał gwoździe i z głowy swojej zrzucił ciernie.*

*Śmiej się Matko Bolesna, tak jak Syn się śmieje,
 Józefie, w górę kielich! Porzuć warsztat praey,
 Niewiasty, niech wasz taniec zbudzi Galileję,
 W wieczerniku już przebie uctują pijacy.*

*Magdaleno, rozplomień pocałunków żary,
 Wylej na biesiadników wonności amfore,
 Rzesze, tłumy, uczniowie szalejcie bez miary,
 Przeklinajcie-że miłość, smutek i pokorę.*

*Tan wasz dziki, obłądny piekła nie zatrwoży,
 Nie zagrozi Duch święty światła manifestem,
 Nie zagrzmi wam Jehowa, nie zbawi Syn Boży, —
 Bogów niema, zła niema, nas niema — Ja jestem!*

WICHER-HURAGANOWIOZ



M Y.

Plama barwna mignęła mi przed oczyma. — Muszę ją chwycić! Jest. O! to takie młode krzyczące kolory — takie gdzieś dawno wysnute, półświatła, półcienie, w przerwach między zasadniczymi plamami. Gdzie tu zasada?

Ach! To zupełnie bez zasad, — to my. Rozhukana, rozbawiona gromada, łechtliwego śmiechu co chwila tryskająca gamą. — Kształt nieuchwytny — bez formy i treści: — treścią sami sobie.

Mówią o duszy; — ale gdzie jest ono ciało i krew, z którego duch się rodzi?

(Przecież wam nic do tego, że poczynamy sobie naodwrot.) Widzę! przewijają się obleśne postacie, w kosmatych łapach cisnąc wiotkie, białe ciała. — Och! To podobno w klasycznej Grecji Pan się z nimfami bawi. Symbol? Nie, — — po co. — My, — my młodzi, — ale antyczni w swoich poczynaniach, — z ciał swoich kosmatą treścią bogatych, ducha próbujemy utworzyć. Pogodnie mamy w głowach — dość pustych i świetlanych — Błękit grecki nam zastąpią — A bez troska nowa boginia — gwiazdą przewodnią służyć nam będzie.

Gaj oliwkowy rośnie szybko, tworzącym świątynię piękna. I „Eviva L'Arte”.

Czy nam zaprzeczy kto, że miejsca nie mamy dla bakhanalji? Poważnie zaczynamy kroczyć drogami Sokratesa. Na placu gładkim przed katedrą snując myśl głęboką o kogutkach na wieżach kościelnych i djałog boski wiodąc platonowym sposobem.

I niech mi kto zaprzeczy, że przekupień papierosów i zapalek, nie może być powodem klasycznych refleksji.

Przezycie? Nie. Boć tak łatwo jest żyć w ekstazy 3 nym uniesieniu młodych porywów.

Prostolinijność kwitnie pośród okien koszarowych domów, — niczem motyw kolumnady peristilowej. Tylko trzeba umieć patrzeć. — Pożyczcie sobie od nas żrenic głębokich i błękitem własnego greckiego nieba przepojonych. Słońce, — czyż to nie boski wynalazek? Nie dość jest go widzieć, lub siedzieć w nim i do codziennego użytku zachować. Trza go kraść, łapać w siebie ot tak, jak my, — zewsząd: — wiosną z nieba — (bo łagodnie świeci) latem — z oparów nocnych, a piasków rozpalonych, (bo tam nasiąkło żrącą twórczą mocą i mocne, a smakowite jest, niczem wino cypryjskie) — jesienią — no choćby z owych listków sentymentalną czerwienią barwnych, a w czas leśnych włóczęg — eskapad na rydze obserwowanych. Zimą — o moi wy zimą to się go w sobie już doszukać trzeba, aby w płatkach śniegu, a taflach lodu szklanych, wesołe iskiereki rozniecić.

Powiadam wam — pijcie, jedzcie, oddychajcie słońcem — z książek czytanych zdźbłami go kradnąc, z płócien pogwałdzianych olejem, akwarelą-wodą; z brył nieciosanych formizmu i z klasycznych kształtów Afrodyte, z Szopenowskich nocturne'ów i marszy pogrzebowych (bo i tam trzeba go umieć szukać — myśmy znajdowali) garnijcie w siebie słońce i żywcie się nim.

Cześć wam promieniści!

Łacno przecie teraz i w tan się pójść można, a taką lekkość i słoneczność wielką w ciele swoim czując wierzym, że duch w nim rośnie i kielkuje, a w potęgę nieskończoności wzrasta.

Cześć wam nieśmiertelni!

To my. A kiedy jasność w sobie taką młodą, bujną stworzyć potrafiliśmy, czyż zabronicie się nam na piedestałach boskich poustawiać, i w niszach świątynnych porozmieszczać. Nie martwcie się. Robim to, boć przecie domostwa

wasze mają takowe (wy o tem nie wiecie) — a tylko stanąć trzeba, i jedną z póź klasycznych przybrawszy — gwizdać przeciągle czasem — czasem skocznie i radością twarz przyozdobić.

Czyż my nie młode bogi!? — a trza wam — niech huknie twrdy zew i ostrza błysną bagnetów (czemżesz on gorszy od miecza) pójdziem. Twardą stopą deptając pył przydrożny. Krew tryśnie. War pójdzie wzdłuż nabrzmiałych żył. My będziemy trwać.

Termopile! Mamy dość sił by próby czynić, by upust dać wściekłości swojej. Potrafi każdy z nas żyć, by śmierci w ślepie zajrzeć — borykać się gdy chce, za bary ze śmiercią. Psia krew! — W spokoju, równowadze trwać. Wiedzę trzymać.

Cheroneja — znamy — i właśnie przez to pełni nam nie brak i wielkiej pewności siebie.

Zazdrość wam wyziera z ocz: — umiejącym żyć w obliczu śmierci należy zawsze zazdrościć.

Przyjmujemy z chęcią hołd należny. A co? — Czy nie greckie my bohaterzy?

A stopa lekka, dłoń silna i sprężysty tors. — Myślicie, żeśmy ciało swoje w miękości zniewieściałego ducha poczęli. My samotwórcy. Zwinnie potrafim przesadzać przeszkody, choćby przez siebie tworzone. — Energji zbytek nigdy w unas nie powstał. My go za zbytek nawet nie uznajemy. Tak trzeba. Chybka nogą, odbić się od żółtego piasku boiska, wzwyż na wysokość, wdał na długość

Albo biedz, pełną pierśią chwytając świszczące koło usz powietrze — choćby środkiem ulic, po gładko kładzionych granitowych kostkach, przed amfiteatrem kamienic, sklepów, kramów i kościołów. Wam i gawiedzi na podziwienie.

Olimpjada! Wieńce laurowe potem ze słów misternych na skroń własnoręcznie sobie kłaść możemy. Ale poco? Nie chcemy sobie skroni niczem uciskać. Boć lepszą prawdę znamy: krzepki w nas duch, bośmy z ciała krzepkiego tworzyć go poczęli.

Czy obce może być cokolwiek nam — nam młodością swoją opętany? —

Cicho. Wykwita zachcenie chutliwym żarem oblewając twarz.

Wina! Zachłanna moc rodzi pożądanie nowe . . .

I patrzcie. Jakaś mi się krągła pierś dziewicza do piersi mej ciśnie. Czujecie jak palą jej purpurowe wargi? Pieszczę coraz silniej, namiętniej. Gdzie usta? gdzie ręce, nogi, pierś? Zwija mi się młode jędrne ciało i lgnie do mnie.

Co? Nie róbcie takich min cnotllwych, niech wam ślina w kąci ust nie napływa!

To hetery pieszczoty swoje między nas dzielą. Między nas tylko! A wy — wy możecie się gorszyć i jeszcze raz zazdrościć.

A teraz patrzcie, zarzucam chlamidę (peleryna — oryginalne angielskie sukno) i chitonem stukolorowym jeszcze raz wam przed oczami mignę.

Widzieliście? Plama barwna błysnęła wam przed oczyma. Jasna, krzycząca kolorami, i w półcieniu, półświatła antyczne zdobna. Plama Patrzcie prędzej

To my

Kazimierz Lubicz.



H A L U C Y N A C J A.

*Piszę Do kogo, nie wiem Tak, słowo po słowie
Na zimny rzucam papier, niby groch na ścianę;
Niedbale klecę zdania, urywam w połowie,
Lub nagle puszczam cwałem myśli rozhukane,*

*By wkrótce wstrzymać ich potok szalony
I w liście pozostawić niedomówień ślady . . .
Pelen nudy nad stołem siedzę pochylony,
Czoło moje oświetla płomień świecy blady.*

*Sumienie?! Kto tu nagle rzucił takie słowo?
Czy duch sennych widziadeł szepnął mi je w ucho,
Lub może stare meble, milczeń dziwną mową
Wyrzekły . . . Patrzę wkoło, wszędzie sennie, glucho.*

*Czemu drgnąłem? To zegar wydzwania godziny,
Sam jestem, przecie więcej tu niema nikogo, —
Och, złudzenia! Po kątach błąka się cień siny,
Ktoś samotny boleśnie jęknął pod podłogą.*

*Za szybą ktoś zapłakał — i znów w nocy ciszę,
Zapadły wszystkie echa. Stłumione, nerwowe,
Jakdyby gdzieś spieszące bicie serca słyszę,
Zadumany na dłoni swą oparłem głowę.*

*Nie! Chyba mam gorączkę, lub też piekiel sprawy?
Chrystus! Wszak Jego obraz mam tu przed oczyma,
Idzie wolno przez zagon skoszonej murawy,
A w rękę swym przebitym krzyż drewniany trzyma.*

*Lecz twarz! Gdzie się z niej podział wyraz święty, cichy,
Pokory pełen? Lica pobladłe jak chusta
Okrasił uśmiech: pełen drwin, pogardy, pychy,
Szyderstwo i ironja wypelzły na usta.*

*Złe ognie rozświełliły czarne, smutne oczy,
Coś nagle w nich zadrgało, jak nieme konanie,
Z warg skrzywionych, jak echo, szept głuchy się toczy:
„Czemu mię wiecznie kuisz, przeklęty Szatanie“.*

WACŁAW GRALEWSKI.



Z cyklu: UKOŚNE PROMIENIE *).

I.

Żeromski. Pisarz ten niecierpliwi mię niekiedy. Realizm drobiazgowy, a przesycony sentymentem. Nieznośny rzewny uśmiech („humeur”); patos, gdy mowa o najwykleszych rzeczach. Zgoła—brak prostoty. Liryzm wytryska najniespodzianie, na każdym kroku, jak woda zaskórna na łące z pod stóp przechodnia. Narzucanie własnej psychiki, swoim postaciom powieściowym, które stają się tylko echem przeżyć uczuciowych autora, przesadzonych, wyolbrzymionych, rozłożonych na glosy, rozpisanych na orkiestrę symfoniczną. Jednym słowem: nieznośna maniera powtarzania tych samych motywów uczuciowych, które po raz pierwszy poznaliśmy w „Ludziach Bezdomnych” i pierwszych nowelach. Na tle tej bujności i przepychu niemal podzwrotnikowego — jakże kojąco działają przez patos milczenia i skromności takie postacie, jak Włodzimierz Jasiołd, nawet niepotrzebnie skarykaturowana osoba nauczycielki („Charitas”).

Z właściwą sobie wrażliwością odtwarza w ostatnich utworach wdzięk, beztroskę i radość życia dzieci.

Wszystkie dziedziny świata zewnętrznego zaraził egotycznym sentymentem. Każdy dom, pokój, sprzęt istnieje dla niego jako świadek pewnych doznawań uczuciowych, do których się nie przyznaje, lecz je narzuca swym bohaterom i bohaterkom. Jakaż gadatliwość, krzykliwość, ile superlatywów i hyperbol. znanych już zresztą i powtarzających się od „Ludzi Bezdomnych” poprzez „Urodę, Życia” i „Dzieje Grzechu” aż do „Walki z Szatanem”.

Głębszem filozoficznym podłożem tej twórczości jest pewien etyczny mistycyzm. Zawsze i wszędzie niemal mści się Aryman, zawsze i wszędzie walczy duch jasny z ciemnym.

Jako nowy ornament przybył język filozoficzny, staranny, przejrzysty, oraz mnogość cytat z niezwykłych, mało znanych autorów — lecz pozostaje wrażenie ornamentu gipsowego, jeszcze wilgotnego, nalepionego świeżo na fasadzie szlacheckiego dworu.

Ryszard Nienaski — to ten znany nam doktor Judym, tylko starszy o jakie dziesięć lat.

Żeromski w obecnej fazie twórczości, to bogata i łaskawa polska jesień. Nic nie uronił z dawnych skarbów swoich, lecz je przekształcił i pomnożył.

Bohater zasadniczy — to zawsze dr. Judym, zaciętrzewiony społecznik i altruista, a w głębi serca niepoprawny i niepokieszony wygnaniec z dworu szlacheckiego. Dr. Judym rozwija się, przekształca, traci swoją kanciastość, naiwność i doktrynerstwo. Ale zawsze w zasadzie — tęskni do piękna i szczęścia osobistego, ale moralnie uważa za rzecz konieczną — wyrzeczenie się szczęścia i piękna. Jest to więc asceta połowiczny, w którym odbywa się wieczna walka cnoty z pokusą, a gdy cnota zwycięży, w głębi serca szlocha zdeptane szczęście osobiste.

Gdy Nienaski godzi życie dla innych ze szczęściem osobistym, jakieś podziemne siły wywierają na nim pomstę krwawą.

Jest więc Żeromski poetą dualizmu natury ludzkiej. Dlatego uczucia jego wybuchają jak wulkan, dlatego liryzm jego jest tak gorączkowo jaskrawy

*) Powyższe krytyki Redakcja uważa za polemiczne i otwiera dyskusję na łamach „Lucifera”.

Miłość — to owoc zakazany, a więc zdobny we wszystkie uroki pokusy. Wszelkie uczucie osobiste — wyrwa się ukradkiem jak więzień, stęskniony do słońca i wolności. Ta potęga uwięziona została i oniemiona przez jakąś przymoc zewnętrzną, dlatego brak jej miary i opanowania.

Istnieje tu pewne pokrewieństwo między Żeromskim a Tolstojem. Polega ono na sile, z jaką obaj mistrze malują świat żywiolowego piękna: młodości, uroku umysłowego. Dalej wszakże drogi ich się rozchodzą: Tolstoj potępia świat ułudy, gardzi nim, zamyka się w biernej, buddystycznej niemal ascezie — gdy Żeromski, — z żalem wyrzeka się piękna plastycznego i szczęścia osobistego — dla walki o wyższe niezniszczalne wartości — o szczęście dla innych. Tolstoj nawołuje do „niesprzeciwiania się złemu“, Żeromski toczy „walkę z szatanem“. Tytuły jego dzieł to symbole filozoficzno-religijne: „Dzieje Grzechu“ — „Nawracanie Judasza“, „Charitas“. Jakkolwiek Żeromski oddalił się od Sienkiewicza, jest jednak jego potomkiem, przede wszystkim w erotyzmie. Wygnańca bezdomnego z pod strzechy szlacheckiej żywiolowo pociąga ku sobie „panienka z dworu“ — czy to będzie wygnanka, jak Joasia, czy ponętna dziedziczka, jak urocza Natalka, czy panna Marzeńska, lub — zdeklasowana Ewa Pobratymska, w końcu tajemnicza i cudna Xenia Granowska, — zawsze ideał piękności kobiecej i źródło szczęścia płynię z tej samej sfery, co ideały Sienkiewicza. Nic to dziwnego. U nas w Polsce człowiek kulturalny nie może zerwać bezkarnie z kulturą szlachecką. Ona promieniuje na cały naród, na lud — ze stanowej staje się wszechnarodową. Oddychają nią dzieła wszystkich naszych mistrzów. I wtedy nawet, gdy ją zwalczają, z niej czerpać są zmuszeni.

Żeromski jest organizacją niezwykle bujną i żywiolową, którą wypacza miejscami ciśnienie potęg zewnętrznych i wewnętrznych.

Działanie tych krępujących czynników, miejscami pogłębia jego twórczość, miejscami wykrzywia.

Przez to właśnie jest on tak bardzo interesujący.

Jakkolwiek Żeromski jest potomkiem duchowym Sienkiewicza, to całą przepaść między nimi wytworzyły te konflikty, które stały się samą treścią twórczości Żeromskiego, a które zupełnie dla Sienkiewicza nie istnieją. Brak konfliktów duchowych sprawia, że Sienkiewicz jest płytki. Jednak i głębia Żeromskiego wyczerpuje się w jednym właściwie zasadniczym zagadnieniu, które powierzchownie zmienia tylko swe kształty. Zasadniczym motywem pozostaje walka Dobra ze Złem.

Jest to zarazem organizacja niezwykle przeczulona i ciekawa żywiolowo wszelkich stanów uczuciowych. Z namiętną chciwością wżywa się w duszę młodej dziewczyny, dojrzałej kobiety, małego chłopca, młodzieńca, społecznika, ascety, wyrafinowanego arystokraty, skromnej pracownicy, — ludzi prostych i szczerych, ojców, matek — a obok tego: bandytów, zbrodniarzy, mętów społecznych.

Malarz i symfonista nieśmiały pierwszych tęsknot, żarów namiętności, jak i lirycznych zakochań.

Z nim rośliśmy i dojrzewali. Jemu zawdzięczamy wzbogacenie naszej skali uczuciowej. Nauczyliśmy się tęsknić jego tęsknotą, marzyć jego marzeniami, cierpieć jego przeczułeniami, mówić jego słowami o najsztubtelniejszych naszych wrażeniach.

Ale pokolenie to już dojrzało i wyrosło z liryzmu i sentymentów studenckich. Razi nas jego gadatliwość, rozlewność sentymentu wprost wydaje się niekiedy — bezwstydem.

Jak podstarzały uwodziciel, jeszcze kokietuje i kusí.

Ale my — ponad ten przepych romantyczny przenosimy stokroć młodzieńczą i surową w swej posągowości postać — postać Włodzimierza Jasiolda. Staje on groźny, milczący a niespodziany, jak ów żołnierz napoleoński, który wynurza się z Sekwany pod filarami mostu d'Alma w Paryżu.

II.

Wacław Berent stoi sam. Od nikogo się nie uzależnia i nie tworzy szkoły. Jest ciężki zarówno w stylu, jak w sposobie ujmowania zjawisk. Każdy jego utwór nosi cechę czegoś przelomowego, jakiegoś dramatu zamkniętego, zdławionego w ciasnej przestrzeni miejsca i czasu.

Jest w tem zawsze coś z szopki, coś z tragedji klasycznej, skrepowanej jednością miejsca i czasu. Cały dramat rozgrywa się w jednym miejscu i w okresie jednej doby, a nawet jednej nocy.

Pozostawia wrażenie jakiegoś sądu ostatecznego, jakiejś zmory.

W tych ciasnych ramach kłębi się, piętrzy, kotłuje się, ryczy — tłum dusz ludzkich, którym na jedną chwilę rozwiązały się zamknięte usta, otworzyły się milczące dusze — i wyrzucają z siebie bezmiar cierpienia, gorzkości, niesmaku, wstrętu od życia, żalu... Każdy pospiesza wypowiedzieć swoją prawdę. Jednak żywiołowość wrażenia osłabia refleksja, którą autor na miarki pył kruszy i rozkłada każde zjawisko. Ani śladu bezpośredniości i naiwności. To raczej podobne jest do wybuchu gazów w laboratorium. Ciężkie i duszące opary zaćmiewają światło i tamują oddech. Szczerłość Berenta jest ciężka i przykra, jak spowiedź pijaka, przerywana czkawką.

Coś ciężkiego i niesamowitego osiada na mózgu po przeczytaniu jego powieści — przykra suggestja, od której długo nie można się uwolnić.

Na tem polega oryginalność talentu tego pisarza.

Życie wewnętrzne potwornie intensywne, skondensowane, aż przelewa się przez brzegi tych dziwnych wigilij, w których biorą udział przedstawiciele całego niemal społeczeństwa, czy pewnego określonego świata.

„Próchno“ maluje nicość i nędzę wewnętrzną świata literatów i artystów — ich nieszczerłość, pozę, zakłamanie się.

„Ozimina“ — tu znowu inteligencja cała stoi przed sądem autora, który widzi ucieczkę całą i przystań moralną w fizycznej tężyznie i duchowej prostolinijności.

W „Żywych kamieniach“ — znowu wyglądanie wybawienia z nicości — w świecie sztuki, który reprezentują rybalci.

Berent gardzi cyganerją artystyczną, bo zna jej płytkość i lekkość, ale również nienawidzi ociężałego i bezmyślnego mieszczaństwa.

Czuje się obco i źle wszędzie — w każdym środowisku, o każdej porze. Szuka — człowieka? — głębszej treści i racji bytu? — spokoju? — ukojenia? i ciągle i zawsze i wszędzie — nie znajduje.

Już zdaje mu się, że znalazł, gdy nagle odslania się przed nim druga nieznaną stroną przedmiotu, a z tem nowem widzeniem rzeczy miraż i ukojenie bezlitośnie się oddala.

Grzechem jego jest ów „demon ciężkości,” o którym mówi Fryderyk Nietzsche. Brak mu tanecznej lekkości, która jest tajemnicą artysty z „bożej łaski”. Stoi on między Wyspiańskim i Przybyszewskim. Bo i on, podobnie jak Wyspiański, powołuje na sąd całe pokolenie współczesne, ale pobudki jego, punkt wyjścia jest niejasny, za mało sprecyzowany, abstrakcyjny zanadto.

Ciężki, upiorny patos czyni go pokrewnym Przybyszewskiemu. — Różnica polega na tem, że namiętność Przybyszewskiego wyraża się w dążeniu, w pożądaniu czegoś, jest ruchem dośrodkowym. Patos Berenta polega na ciężkim uczuciu wstrętu, niesmaku, pogardy, negacji, ale nie rozpala się do nienawiści.

Berent zaprzecza istniejącej rzeczywistości, pragnie czegoś innego, ale pragnienie to jest nieokreślone i wciąż doznaje zawodu. Szuka siebie i nie znajduje.

Solo.



W I T R A Ż E.

Może będę kiedyś tancerką
 Estrada dużo światła
 Na koniuszczkach palców zawrotny two-steep,
 i czardasz w wysokich, czerwonych butach. — — —

A może — porwie mię ktoś.
 Będzie miał Jerzy na imię i będzie rycerzem!
 Na karym koniu — albo wreszcie w karecie — będziemy uciekać
 strasznie prędko przez lasy i góry! Ale ja za nim pójdę
 i nie będę się bronić

A pogoń za nami będzie coraz dalsza i cichsza

A może znów kiedyś — w dzień albo wieczorem, —
 przez ogród jesienny będę szła: szary płaszcz i włosów popielatych
 zwój

A liście się zwiędłe ścielą, ścielą i chrupią pod nogami, jak kości
 szkieletów w podziemiach kościoła

A może — będę księżniczką z bajki —
 Pałac ogromny, siedmiu lokai w kolorowych frakach, sto służebnie,
 giermek o czarnych jak noc oczach i lutnista z długich jasnych
 włosów talą

Może znów, kiedy, pójdę sama, w noc, w ulicę nieznanego miasta
 i zabłąkam się: długo, długo, przez duże place, wązkie kręte uliczki
 i bulwary cieniste.

Wkoło postacie ciemne i dziwne sceny Aż wreszcie splakana
 usnę w bramie przytulona do muru. Ale nie się nie stanie zlego
 i zaraz będzie świt

A to był ten sam dom w którym mieszkam. —

A może znów, może pocałunki jakieś padać będą na chłodne, pełne
 pierścionków palce, o wypolerowanych ostrych paznogciach. —
 Pocałunki powolne, potem coraz prędsze, prędsze

A może — nie wiem, czy to będzie tu, czy gdzieś daleko — usłyszę
 pieśń, którą bardzo, bardzo lubię, bo jest najpiękniejsza; słyszałam
 ją dawno już, — nie wiem od kogo, ale nie umiem jej ani zagrać,
 ani zaśpiewać, choć pamiętam tak dobrze

A może — raz jeden mignie mi na ulicy, lub przez okno wagonu
 twarz nieznana

Nie zobaczę go już nigdy, ale to właśnie będzie ON —
 Tylko ani mnie, ani jemu nikt tego nie powie

DZIEWANNA WŁODARSKA.



Z W I D.

Z cyklu: DEMON.

Blade światło kinkietów wyczarowuje dziwne cienie na ścianach dużej sali. Muzyka gra sentymentalnego walca.

Cicho, niby stado motyli, lekko suną pary. Ktoś w czarnym fraku miękko i pieściwie obejmując kształt białej sukni balowej, zamglonym wzrokiem, w którym ostatnim wysiłkiem drga płomień konający chwil ubiegłych, patrzy w mrok oczu swej towarzyszki.

Seledynowe światło księżycy z wolna skrada się po zapoconych szymbach, czając się po kąciakach okiennych parapetów, snadź ciekawe efektów tanecznych.

A za nim idzie . . . tęsknota?

Może i ona.

Skąd ja mogę wiedzieć.

Północ dawno minęła. Jej nadejścia nie zauważyli rozbawieni. — A pono gdzieś, daleko w tej upiorowej godzinie bezszelestne działy się dziwy . . .

Niezadługo ma błysnąć świt. O, jego blask odsłoni dziwne tajemnice. Pryśnie kolorowa bajka. Znędnije ogień lampjonów i zwyciężony, bezsilny ukaże zblazowane pełne nudy i przesytu, śmiertelną bladością znużenia pokryte twarze. Resztki podniecenia i żaru schronią się i zastygną w mocno ubielonych i wyróżzowionych zmarszczkach twarzy.

A potem . . . potem nawet Chochol odbiegnie swych wiernych.

Cha, cha, cha! . . .

Jak jednakże nienaturalnie się śmieję. I zresztą skąd te dziwne myśli.

To chyba zwiódł mię ten ogromny Cień, jak chmura kroczący od wschodu. Po części też i wina mojego usposobienia. Mógłbym przecie jak inni płynąć unoszony znojnym rytmem fox-trotta, lub też kołysać się w one-stepie, no lub wreszcie, do diabła, szukać zapomnienia i ochoty życiowej bodaj w zwykłym ognistym obertasiel

Hm! Doprawdy, że to święta racja.

A jednak . . . jednak coś mię trzyma w mym kącie na uboczu i nie pozwala rzucić się w wir zabawy. Przez chwilę zdawało mi się, że to żal i wspomnienie czegoś dawnego.

Może . . . Nie wiem.

Na zapytanie poszczególnych osób o powód odosabniania się, odpowiadam krótko: „Nie tańczę”.

Rzecz niezwykła. Muzyka, na którą składa się szereg banalnych melodji zaczyna działać na mnie podniecająco.

— Jednakże skąd w sali tyle białej mgły?.. — Tony cichną, głuchną zupełnie, jak dźwięki dzwonów, co z wolna milkną gdzieś, w bezdennej otchłani. Ogarnia mię cisza i słodki bezwład marmurowej statui.

Tak!.. ależ zupełnie wyraźnie widzę balową salę.

Tylko . . . ale to rzeczywiście szczególne!

Dopiero teraz zauważyłem, że lampjony mają kształty czaszek. Spokojnie, rytmicznie kołyszą się w powietrzu, siejąc z głębi swych oczodolów potoki żółto-gromnicznego światła. Ochochy taniec wre z szaloną werwą. Tancerze wyschnięci jak mumje bez wyrazu i ruchu na zastygłych, zczerniałych licach wirują zaciekłe. Nie mogę spokojnie patrzeć na ich taniec. Drażni mię zgrzyt jaki słyszę mimo różnych tonów orkiestry. Najwyraźniej odróżniam chrzęst kości, wydobywający się z suchotnicznych, pokrytych wyschlą skórą organizmów tancerzy. Z przeciwległego kąta z wolna wyrasta obłok mroku, gęsty, jak woal zakwefionej kobiety.

Powoli olbrzymieje, sięga sufitu, arogancko rozpiera się na bocznych ścianach, nie-dostrzegalnie posuwa się naprzód. Rozbawione pary jedna za drugą giną w jego zawojach, stapiają się w ciemny kształt. A on wciąż nieubłaganie wysuwa swe macki naprzód i niby groteskowa ośmiornica coraz bardziej otula salę, bierze ją w wyłączne swe posiadanie. Już zupełnie nie widzę tańczących. Zapadli w głąb wlokącego się potwora.

Tylko niemiły chrzęst, jaki przed chwilą słyszałem wydobywa się jeszcze z czarnej drgającej powłoki. Ale i on zmienia swą postać. Z początku cicho potem coraz głośniejszy, niby pod palcami Skrzyżbina zrodzona, dudni wściekłą harmonją brukowych dysonansów.

A mrok coraz bardziej zbliża się ku mnie, coraz mniejsza przestrzeń nas dzieli.

Pochylił się nademną, wyciągnął długie ramiona, jakby mię chciał chwycić i unieść do góry i . . . zastygł nagle, znieruchomiał, skamieniał.

Przymknąłem oczy. Głuchy odgłos kroków zatrzymał się tuż przy mnie. Ktoś położył mi ciężkim, leniwym ruchem rękę na ramieniu. Niechętnie unoszę powieki.

Bezbarwna płaszczyzna ciągnie się przedemną, zlewa się w oddali z chmurnym horyzontem. Wstaję i chwiejnym krokiem zaczynam iść.

W miarę posuwania się naprzód płaszczyzna poczyna ciemnieć, przybiera barwę popielatą-szarą. Szara bezdźwięczna przestrzeń, otulona głąb rozpościera nad sobą nieskończoność szarego nieba.

Dokąd idę i po co?

Przytępione uczucie bólu przenika me członki, zimnym nurtem sączy się powoli w głąb wnętrzości, tłumi nieubłaganie rytm serca. Tracę możliwość odczuwania czegokolwiek.

A zresztą . . . tak mi wszystko stało się obojętne.

Ktoś władczo popycha mię naprzód.

Nie wiem dlaczego, ale oto wydaje mi się nagle, że w tej bezbrzeżnej szarzyźnie, jestem szarym, smutnym wlokącym się kształtem.

I raptem w głębi kamiennego spokoju dziwnym kontrastem przebiega myśl: —

Gdyby tak na tle tej beznadziejnej jednobarwności napotkać plamy gorącej czerwonej krwi!

Coś niedostrzegalnie drgnęło we mnie bezcielesną postacią niezmysłowego cierpienia. Rytmem nieznanego istnienia zaczyna pulsować. Tracę świadomość czasu, przestrzeni, jednocześnie jakimś miękkim prądem wchłaniam się w inną, ze mnie powstałą egzystencję. Przystaję być sobą, jestem kimś . . . , a teraz znów sobą?!

Zapach świeżej zieleni . . . Miękkie pieszczotliwe promienie słoneczne.

Uczucie kipi warem, szaleje rozkoszą w mych żyłach!

A może to tylko złudzenie . . .

Skoro otworzę powieki (mam je w tej chwili zawarte), pryśnie miraż, znów stanę się zimnym lodowym bałwanem . . .

Ostry dreszcz przenika mię nawskroś.

Chwila . . .

Wyteżonym wzrokiem patrzę przed siebie . . .

Taż sama szarzyzna . . .

Ogromny tłum szarych cieni sunie po niej poruszany upiorną wolą czegoś nieznanego.

Lecz ja nie jestem bez woli i chłodu pełnym organizmem.

Żyję!

Jednak muszę zamącić mroczną ciszę, schłostać bezduszne widziadło strugami czerwieni.

Tygrysim ruchem wydobywam z kieszeni nóż.

A jeśli z piersi zranionej uderzeniem miast krwi popłynie mętna szara ciecz?!

Trupi lęk wdziera się w głąb mej krtani.

Milczący jak zaguba moment wahania . . .

Stał miga w powietrzu, nerwowym ruchem rozdzierając mi ciało.

Osuwam się na kolana. Gdzieś leczę . . . Otchłanie . . . Przepa-
ście . . . Burza światła . . . Jęk rozszalałych uderzeń dzwonów . . . Coraz dalej,
coraz ciszej . . . spokojniej.

Z bezdni czarnego mroku stopniowo rosną zamglone kontury, ostro
rysują się na tle bezświetlnej przestrzeni, coraz jaśniejsze, przejrzyste . . .

Balowa sala . . . zwisające lampiony . . . bezładnie rozstawione
krzesła. Tancerzy ani śladu.

Powłoka czarnego mroku, w której zwojach zginęli—skurczyła się
postrzępiła i zwisa spokojnie w postaci kotar i firanek.

Miłosne wyznanie zastygło w porzuconej bieli cieplarnianej chry-
zantemy . . . Niedośpiewana zwrotka zamarła na wieki w szczerbach stłuczonego
kieliszka. Pustka i senne zmęczenie tchnie ze wszystkich ścian. Nawet stary for-
tepian, szczerząc żółte zęby klawiszy, znieruchomiał w martwej tępotcie. Oparty
o poręcz fotela patrzę na pustą salę z bolesnym uczuciem czegoś minionego,
pierzchłego jak zapomniana wizja . . .

Wstaję niechętnie i chcę iść. Lecz nagle wichura szaleńczych pra-
gnięń wzbiera gwałtownym strumieniem w mym wnętrzu, wznosi się, dławi, w gar-
dle dech zapiera i . . . niepowstrzymanym potokiem obłąkanego płaczu i rzęzą-
cego jęku wyrzywa mi się z ust

Chwieję się i padam.

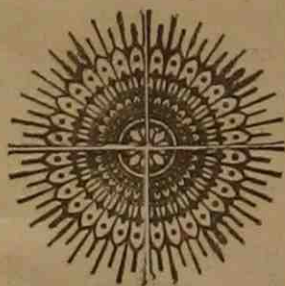
Piers z rozmachem uderza o twardą posadzkę.

Ból . . .

Coś ciepłego napływa mi do ust . . .

Z potokiem łez zmieszana, wstrząśnieniem płuc wydobyta, po war-
gach mych sączy się strumieniem spiekła krew.

Parcival.



A V E.

Osoby działające lub beczynne stosownie do akcji:

1. Ten, co tworzy.
2. Ten, co się już skończył.
3. Ten, co się jeszcze nie zaczął.
4. Ta, która jest smutkiem.
5. Ta, która szuka definicji.

.....
Wszyscy w skupieniu ogromnem w niego zasluchani, a Ten co się już skończył, takie wyrzeka słowa:

- Życie nie jest komedją, ale myli się ten, kto je tragedją zwie.
- Och, wszystko jest smutkiem — cicho głos lila wyszeptał.
- Albo radością — dorzucił Ten, co się jeszcze nie zaczął.

Słowo radość, jak kropla wody na ziemię zeschniętą i spragnioną padło. Wchłonęli ją Nieśmiertelni, a Ten co tworzy targnął się:

— Tak! Smutek, komedja, tragedia, radość. Dość tego! — To wszystko już było, nic ono prawdziwie nam nie da nowego.—Precz z tym, od siebie odrzucić, jak liczman zdarty, zużyty — jak kość obgryzioną, która jeno część martwego szkieletu stanowi . . .

Jeżeli to wszystko śmiertelni ożywczą zwą rosą — to ją wypalić swym tchnieniem, jeśli światłem — to zgasić, zdeptać, a nowe rozniecić ognie — niech świat obejmą cały, a niech niszczą, niech palą — te co w lęku uciekać będą; a jeśli nie widząc końca i kresu ucieczki swej, na twarz przed boskim upadną ogniem, to światło niech oślepi, bo i tak ci, których dusze pełne są lęku, uczuć niewolnych, co jeno uciekać lub korzyć się potrafią, płomieni świętych widzieć nie mogą! . . .

Ale patrzcie tam! — oto naprzeciw ognia idzie człowiek stary, co w swym jeno mniemaniu powagą, a starością swą silny. Oczy jego z lawy zastygłej w sam płomień patrzą — Naprzód się całym korpusem pochylił . . . rękę wyciąga . . . czyżby płomień chciał złapać? Nie widzi światła. A ogień jaśniejszym i gorętszym się stał i żarem swoim oczy — lawę roztopić próbuje. Targnął się człowiek, poczuł żar nieznany, żar co parzy, co do duszy, do krwi się wżera. Więc mu tamy próbuje stawić, gasić, a zmniejszyć chociażby. Tryumfalnie zasyczał płomień . . .

Padł człowiek. —

W milczeniu Nieśmiertelni pochylili głowy, jakby hold niemy składać chcieli.

A Ten, co tworzy, w jasność ową zapatrzony, rękę wyciąga i dalej mówi tak:

— Ale tam jeszcze wciąż mrok zaskrzepły, wciąż cisza niezmacona, a ponad tem światło się potężne, boskie rozpościera. —

— A w mrokach pustka, w mrokach nic... — głośno myśl swą Ten, co się już skończył, wypowiada.

— Nie, — coś się rozstąpiło w mrokach, jakowaś się szczelina utworzyła — o tam — już światło się wdziera! Nic jeszcze. A teraz skłębiło się coś, coś się kurczyć i drzeć poczęło. — Rozpadł się zaskrzepły mrok, a resztki jego płomień rozdarł i rozświecił! . . .

W miejscu, gdzie mrok był, gdzie człowiek padł — twórz jakiś nowy powstaje, potężny wielki, a silny! To Ten, co chociaż nieśmiertelnym nie jest, człowiekiem już być przestał.—

W zachwyceniu wielkim patrzyli Nieśmiertelni, aż pochyliły się ich głowy, i w świetlany punkt patrząc szepnęli "Ave". —

J. Zakrzewska.



Giosue Carducci: Trzeci zbiór ód barbarzyńskich.

E G L E.

Przy Via Appia, nawet w czas zimowy
Strojne w bluszcz i wawrzyny
Melancholijne wznoszą swe budowy
Antycznych grobów ruiny.

A po błękitie, skąd deszcz kapie jeszcze,
Przed samym słońca okiem,
Suną ostatni niepogody wieszce
Białym, srebrzystym obłokiem.

Podniósłszy głowę ku tej obietnicy
Przyszłej pogodnej wiosny,
Egle na słońce, rząd chmur bladolicy
Kieruje wzrok swój radosny.

Patrzy, a wobec jej pięknego czoła
Bardziej niż wobec słońca,
Tryska uśmiechem falanga wesola
Chmur, nad grobami błędząca.

Tłomaczył N. L. JOTTE.



WESOŁKI, SZTUKMISTRZE i MECENASY.

Wchodzę do świątyni sztuki, w rękę dzierżąc bicz smagły i pałacy w swych razach. To już było — wypędzano nie raz, nie dwa kupczące w Świątyni.

Bez racji — Świątynia na tem nic nie zyskała, pustki w ścianach jej potężnych gościć poczęły, a śmierć — nuda, z ciężkich, misternie kowanych wierzei wionęła . . .

A przeto nie wypędzać chce, tylko razy zadawać, nie pustkę nową tworzyć, ale sztukmistrze bicza groźbą w mistrzy sztuki przedzierzgnąć!

Do rzeczy — a raczej od rzeczy — boć przecie, mili, czasu nam nie brak, a z bajeczki morał głowom pustym, czyż nie najłatwiej wysnuć.

Pod pióro ciśnie mi się uwaga, że trza nam myśleć za cie, serdeczny, boć ty do tych wysiłków nie przyzwyczajony, a wysiłkiem ciężkim myśl wszelka jest dla ciebie, nie z gnojowiska powszedniości płynąca.

Ano, więc było sobie grono wesółków, nie nazbyt czcigodne grono, ale zacne w prostocie ducha swego i litości ludzkiej może nie tyle godne, ile łaknące. Sztuki ich były tanie i za nędzne grosze sprzedawane w miejscu poświęcanem, a ludzie kupujące prawie świętymi je mniemali, boć od męczenników biedy szły i w przybytku nie świętym, ale dla świętości sporządzonym sprzedawane były

Aż gwałt wielki zrobił się dnia pewnego w mieście. Krzyknęli ludkowie: „Nie święte są te głodomory! Wesolość ich trupem trąci, a śmieszności ich ani głupie ani mądre są — tylko stare.“

Przyszli zasie ludziska, władzę mający w rękę, a ciężkość wielką w głowie. Przyszli, pogwarzyli i orzekli, że sztuka zachorzała, a wesółkowie i sztukmistrze niecni, chorości ją onej nabawili.

I oto rozpędzono zmizerowaną na ciele i duchu biedotę, mówiąc im: „Nie umiecie łyżeczka drzeć z czego się da i z czego się nie da. Przyjdą inni na owe święte targowisko i interesy wielkie czynić będą i sztukę na koturny niebosiężne wynosić będą — na hańbę wam, a podziwienie ludziom, co ich napewno podziwiać zechcą.“

Tak rzekli miłośnicy i znawcy i roztrząsacze serc, a umysłów ludzkich.

Bajka — nie bajka — aby morał był.

Sztuka, wesółki, mecenas, świętości i umiłowania. A wszystko czczością wielką tchnące. Boć i powiedzcie, najmilejsi, czy i gdzie tkwią w Was szczerze umiłowania piękna — gdzie miejsce może mieć w zaskorupiałem ciężkiem cielsku waszem, w cielsku sprośnem, a obwarowanem tłustością sybarytyzmu i snobizmu, cudowny kwiat idei — sztuka.

Czy mamy dorzucić jeszcze co do tego?—Mądrzyście wszyscy wielce i mądrości uczyć was nie potrza i ja czynił tego nie będę

Nie po to też kreślę tutaj słowa, trochę może żółcią zaprawne.

Piękno jest w nas i sztuka pięknem będąca, źródło swoje w nas posiada.

Chcieliście ją uzewnętrznić, jako kupcy kramy swoje barwnemi szmaty obwieszając. Cóż macie wewnątrz?

Pustka, a nędza albo zgoła mydlarski towar i krupy w waszych ciasnych piwnicznych duszyczkach kryjcie.

Przyjaciele mydlarze! Po co udawać, po co szychem świecić, a puszyc się, a hałas czynić!! Pozostawcie to kurom pierzastym i głupim, co każde jaje gdakaniem pragną rozgłosić.

Widzę was — porodziście w ciężkim połogu myśli, a teraz sobie w reweransach, przysiadach, adoracje czynicie wzajemną—gdacząc na wsze strony— „Patrzcie, jakośmy układni i grzeczni, jak wielkość swoją wysoko stawić umiemy, jaki kunszt misterny przed Wami umiemy rozłoczyć .. My wielcy, my nieśmiertelni, my — mecenasy sztuki, wesołki i sztukmistrze! . . .”

Ha — ha — ha

Matoly! — o sztuceście zapomnieli. Ale ona jest i będzie, tylko nie w Was i nie przez Was!

Kazimierz Lubicz.



LISTY O SZTUCE MŁODEJ.

Dom na mieszkanie własny mam,
W niczem nie biegłem w cudzy ślad —
Każdegom mistrza wyśmiał rad,
Który nie wyśmiał siebie sam.

Pr. Ni'sche.

Czy nie zauważyliście, najmilsi przyjaciele, że słowo Sztuka (ta przez duże S), niebacznie jest u nas nadużywane? Nie szukam daleko — w samym tylko tytule naszej pogawędki, tego rodzaju przesady dopuścił się zacny redaktor.

Ja bowiem na tem miejscu pragnę opowiadać Wam o poczynaniach ludzi młodych i starych, w kierunku artystycznym, — o ruchu intelektualnym stolicy. Czy wyłoniła się już z tego chaosu „nowa sztuka” — sami sędzić będziecie.

Nie mając pretensji do dokładności sprawozdawczej, wrażeniami zapamiętanemi z Wami tutaj dzielić się będę.

Ot, na przykład, w końcu listopada parę osób, grupujących się przy t. zw. „Gospodzie Poetów” urządziło wieczór poetycki p. t. „Krokus”. Nazwę tę wieczorowi nadał bardzo poprawny, nieskazitelny niemal w swej tradycyjnej formie wiersz kpt. Relidzyńskiego. Dawny poeta Legjonów, również w innych utworach wypowiada się szlachetnie i ładnie. A zawsze słuchacze konstatają, że to, co p. Relidzyński ma do powiedzenia, już nieraz w podobnej formie mówili nasi twórcy, od Trzech Wieszczów począwszy. Nie zrozumcie mnie tylko źle. Poeta ten bynajmniej nie jest naśladowcą, lecz poprostu twórczość jego idzie starą, utartą drogą . . .

Mimo, że wszystkie niemal poezje z normalną poprawnie ekspresją czytali artyści i artystki teatrów warszawskich, to nawet ich maestra nie skapotałaby pewnie nikogo dla utworów p. R. Krajewskiego, n. p. dla wiersza, mającego za przedmiot wyprawę Słowian na niebo. Był to bowiem atak papierowy i nieudany. Nie pomogły ani ciężka artylerja, ani wojsko samochodowe, ani tanki i tym podobne zdobycze techniki wojennej, które p. Radosław uważał za właściwe zmobilizować do tej niebezpiecznej wyprawy. O ile jednak w wierszu owym słowiańscy woje-poeci odbili słowiańskie „Cudno”, to jednak na sali cud nie miał miejsca. — Nikogo p. Krajewski nie przekonał do swych słowiańsko-słonecznych idei . . . i do swego talentu.

Również nikogo nie mogły zdobyć ubogie wierszyki p. Rościszewskiej, niewiele odchodzące nawet w swej formie od naiwnych wysiłków pensjonarki.

Jedyny w tym całym zespole, osobiście odczytujący swe utwory, p. Ksawery Glinka, — sam jeden też wchodzi wiernie w ślady Igora Siewierjanina-drogą, rzecz już dziś można, „klasycznego” futuryzmu. Doprawdy, dość już mamy tych „pikantnych” atrakcji. — Samochody, słonie, Egipt, Nagasaki, krokodyle, — czego tam nie ma. Wszystko pele-mele, dobierane zupełnie na zimno, najczęściej w myśl decydujących nakazów najwyższego pana — rymu (o, jakże nieraz biednego).

Najlepiej z tej garstki ludzi, nie związanych żadnem spoidłem artystycznym, przedstawił się p. F. Gwiżdż. Daleko mu, naturalnie, do giętkości i potęgi Kasprowicza, na które to zestawienie puścił się nieostrożnie jeden ze sprawozdawców naszych gazet codziennych, ale jest w jego wierszach doza, tak rzadkiej dziś, szczerości, która tłumaczy pewną surowość i niewykończenie treści i formy, a nadaje utworom cechy żywotności i rozmachu chłopskiego, zapamiętałego. — Siły takiej właśnie brak zupełnie w strofach p. Okołów-Podhorskiego (cykl „Na drodze do Emaus”) — poprawnych i nic więcej.

Innemi chodzą drogami, znani Wam zapewne przynajmniej z imienia poeci „Skamandra”, którzy ostatnio dali znać o sobie, wydając w listopadzie swój „poetycki” miesięcznik, zeszyt IX, X, XI, XII (lipiec-październik) oraz produkując swe utwory 3-go grudnia na wieczorze poetyckim, bądź osobiście, bądź w interpretacji p. Morskiej. Ciekawa to artystka. Kiedy wyjdzie na wzniesienie niepozorna, nieszczególnie ubrana, gdy zacznie gestykulować swemi nieładnymi rękami, piskliwym głosem wypowie tytuł utworu i z naiwną przykrą przesadą zacznie deklamować, — to mimowoli się przypuszcza, że to jakieś nieporozumienie spowodowało jej występ. A jednak — przy trzecim, czwartym lepszym utworze zmienia się: znika śmieszna gestykulacja, niezręczność, głos nabiera głębi i siły metalicznego dźwięku, — brzmi jakby jaki bajeczny instrument, słowa wibrują, po sali przebiega dreszcz . . . Wszyscy słuchacze niemieją. Artystka zupełnie muzycznie wygrywa całą symfonię wiersza na swym pysznym instrumencie, dając słuchaczom przeżycia stokroć intensywniejsze, niż konwencjonalny patos deklamacyjny większości naszych sił dramatu i komedji. To też kulminacyjnym punktem wieczoru był, bez zarzutu wypowiedziany przez p. Morską nieporównany „Mochnacki” Jana Lechonia (Serafinowicza).

Artysta ten, jak dawniej tak i dziś, o głowę przerasta całą falangę skamandrytów. Zawsze wykwintny w swej pięknej i bogatej formie, głębokiej i inteligentnej, z owym nieuchwytnym stygmatem arcypolskości, spadkobiercą jest w prostej linii wielkich romantyków i Wyspiańskiego właśnie dlatego, że przy tem wszystkim zupełnie oryginalnym i na wskroś nowoczesnym jest poeta.

On jeden, którego bez zastrzeżeń w owej grupie ochrzcić można tem imieniem i chociaż umieszczone również w ostatnim numerze „Skamandra” wiersze „Modlitwa” i „Śmierć” stosunkowo są blade i podejrzaney szczerości, wiersz „O pani Słowackiej”, przeczytany przez autora na wieczorze, stanowi piękny klejnot liryki.

W każdym razie wolę nawet „Upadki” Lechonia, nad najśmielsze wzloty p. Słonimskiego, choćby to był „Koniec świata”, „Do przyjaciół moskali”, czy też „Wieża Babel”, — wszystko to są wierszydła nudne i naszpikowane takimi sensacyjnymi pomysłami, jak fruujące parki miejskie, morze północne na Sacharze, spadające aeroplany i t. p.

Lepsze stanowczo wrażenie wywoływał p. Tuwim, którego zręczność, inteligencję i zdolności dzielnie wspiera duża technika kabaretowego pochodzenia; pozwoliła mu ona z wierszy, brzmiących w czytaniu dość niesmacznie, wydobywać przy ustnem wypowiedzeniu pewne efekty, zresztą wyłącznie słuchowe. Że wspomnę tu „soczysto mięsiste”, „My ludzie”, nie mówiąc o innych, chytrze pomysłowych konstrukcjach artystycznych.

Ale p. Karskiemu nawet własnostne wystukiwanie utworów nie pomogło: nic nie zastąpi zdolności w lepszym stylu. A przysługę wyświadczyli by mu przyjaciele, doradzając pracę nad t. zw. wierszykami dla dzieci: jego „Lina” jest pełna wdzięku.

Dzielnie wsparli wieczór swą nieobecnością pp.: Małaczewski i Majkowski. Ten ostatni szczególnie groźny, bowiem w lipcowo-październikowym zeszycie „Skamandra” jedzie na swym okropnie skrzypiącym „Wozie”, w nieskończoność i wieczność, przez sześć i pół stronicy!

Natomiast nie byli równie uprzedzającymi pp.: Przysiecki, Horzyca i Rytard. Dwaj pierwsi starali się to wynagrodzić bardzo dyskretną dykcją, tak, że słuchacze zdołali się zapoznać zaledwie z pewną częścią ciekawych tajemnic ich twórczości. W wierszach p. Rytarda znać zresztą przeblyski talentu, tylko uwidoczni się brak pracy.

Przykre wrażenie robi obecny upadek twórczości K. Wierzyńskiego. Znikła, bez śladu niemal, jego pełna wdzięku naturalność. „Wenus”, traktująca o pierwszych przebyciach seksualnych chłopca — jest zupełnie licha.

Coś z tej dawnej lekkości i prostoty Wierzyńskiego mają ostatnie

wiersze Iwaszkiewicza, nie wychodzące jednak poza granice zgrabnej fraszki i poetyckiej żartobliwości. A już „Legenda” i powieść, pisana wspólnie z p. Rytardem, są wymuszone i piekielnie nudne.

Na końcu mała uwaga o p. Słonimskim: nie potrzebnie wysiła się on na własną oryginalną twórczość, gdyż powinien wyłącznie poświęcić się tłumaczeniom. Produkowany na wieczorze przez p. Morską przekład z Baudelaire'a jest wprost świetny.

A ogólne wrażenie z ostatniego zeszytu „Skamandra”? Poeci zostali niespojeni żadną wspólną ideją artystyczną, w odosobnieniu jeden od drugiego. Wielu się przedwcześnie wyjałowilo. Z kartek wieje smutek starości nie-dojrzałej i pretensjonalna, napuszona nuda.

Tadeusz Nałęcz.

Warszawa w grudniu.



TREŚĆ NUMERU:

- | | |
|---------------------------------------|-------------------------------|
| 1. „Lucifer jawił się..” | |
| 2. „Inwokacja” | N. L. Jotte. |
| 3. „Dytyramb szatański” | Wicher-Huraganowicz. |
| 4. „My” | Kazimierz Lubicz. |
| 5. „Halucynacja” | Wacław Gralewski. |
| 6. Z cyklu: „Ukośne promienie” | Solo |
| 7. „Witraże” | Dziewanna Włodarska. |
| 8. „Zwid” | Parcival. |
| 9. „Rve” | J. Zakrzewska. |
| 10. „Egle” | Carducci w tłum. N. L. Jotte. |
| 11. „Wesolki, mecenas i sztukmistrze” | Kazimierz Lubicz. |
| 12. Listy o młodej sztuce” | Tadeusz Nałęcz. |

PRENUMERATA „LUCIFERA” wynosi: **mk. 1800** rocznie, **mk. 900** półrocznie i kwartalnie **mk. 450** w Lublinie, a **mk. 2000** rocznie, **mk. 1000** półrocznie i **mk. 500** kwartalnie z przesyłką pocztową.

Redakcja „LUCIFERA” mieści się przy ulicy Bernardyńskiej L. 18, m. 7.

Okladkę rysował JAN WŁODARSKI.

Tłoczono w drukarni udziałowej—Plac Litewski 1.

Redaktor i Wydawca DZIEWANNA WŁODARSKA.

